

22 lipca - ja wciąż słabo latam

22 lipca, Dziedzinka, Puszcza Białowieska

Bocianiątko ma swoje bezpieczne "gniazdo", przez pierwszy tydzień w skrzyni w moim pokoju, teraz w wolierze, w której nocuje i siedzi, gdy mnie nie ma w domu. Ale gniazdo jest "na parterze". Celowo. Problem jest w tym, że ja wciąż słabo latam i nie dam rady dostarczać mu jedzenia do gniazda, np. na dachu czy na wysokim drzewie. No i jak go w nocy obronić np. przed atakiem kuny? Normalnie u tych ptaków mały przez całe dzieciństwo pozostaje stacjonarnie w gnieździe, rodzice przylatują i karmią. A potem za nimi leci na żerowisko. Ponieważ to nie wchodzi w grę w moim przypadku, muszę malca "przesterować", by po pierwszym locie nie głodował, czekając aż do niego przylecę z rybką lub powietrzem zaprowadzę nad rzekę, i nie padł z głodu zgubiony w wielkim świecie.

Białym bocianom jest znacznie łatwiej - najbliższa "bociania" łąka i po problemie. Przy inteligencji bocianów i ich sposobie polowania - szukanie zdobyczy na ziemi (w wodzie) nie jest to aż taka dziwaczna zmiana obyczajów. A żeby zerwać się do lotu czarny bocian potrzebuje rozbiegu a nie wysokości. Ja znam te ptaki, toto najpierw podskakuje z rozciągniętymi skrzydłami, potem leci na stos drewna, potem na gałąź przewróconego graba, potem na dach itd. Wcale nie chcę, by przy pierwszej próbie lotu od razu wzbił się w powietrze i dostał w prądy wznoszące. Na to przyjdzie czas, gdy trochę potrenuje lądowania (b. trudna sztuka!) z niedużej wysokości. Dlatego napisałam, że działam swoimi sposobami etologicznymi. Musi się nauczyć (i uczy się nad podziw szybko), że jedzenie nie jest donoszone do gniazda, a on tylko siada na "piętach" i czeka, tylko na środku trawnika, gdzie łatwo wylądować i do tego jedzenia należy się pofatygować. Od dwóch dni to trenujemy, na razie na piechotę, z dużym powodzeniem. Początkowo bodźcem do wylądowania mam być ja, mój głos i trzymany w ręku duży biały pojemnik z rybkami. Potem to będzie już tylko pojemnik z rybami stojący na ziemi, już beze mnie. Potem zacznie zwiedzać okolicę, sam wypatrzy zbiorniki wody i inne bociany, i coraz rzadziej będzie odwiedzać stołówkę. A na koniec, fru... do Afryki. Na wiosnę zamelduje się na krótko na Dziedzince, jeśli będę miała szczęście (a z innymi "odchowalcami" zawsze tak mi się darzyło - intuicja, że akurat teraz należy czekać przed domem i wypatrywać), to go zobaczę, jak krąży nisko nad dachem. Wymienimy czułe spojrzenia i to będzie pożegnanie i podziękowanie. Nie będzie też problemu "oswojenia" z ludźmi. Poza mną i Lechem nikt go nie karmi i nie dotyka. Z wszystkimi małymi zwierzętami tak postępujemy, i zawsze jest taki moment, gdy robią się okropnie nieufne i uciekają od obcych. A gdy dorosnie, pamiętać będzie najwyżej, że Dziedzinka to jego miejsce wychowu i na widok ludzi w niej mieszkających nie trzeba szerokim łukiem omijać polany. Tak już było z pierwszym czarnym bocianem, którego prezimowałam w moim pokoju.

